DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO“

Rok 1924 Nr. 12

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Do szczytu.

Szczycie górski, wysoki, owieńczony chmurą,
do ciebie wznoszę wzrok!
Skuty z ziemią duszącą, ciemną i ponurą,
do ciebie, co królujesz tam, ponad naturą,
pod nieba wspięty stok!

Do ciebie wznoszę oczy, wygnaniec na ziemi
z wysokich górskich stron;
ku tobie się oczyma patrzę tęskniącemi —
szczycie! szczycie, owiany śniegami białemi,
w obłoków wbity szron!

Tam ku tobie, tam nigdy nie doleci podły,
nikczemny ziemi dech!
Tam wicher ci donosi z lasów zapach jodły,
i z upłazów, co turnie zielenią obwiodły,
limbowych zapach wiech.

Tam wicher tylko wyje, tam grom tylko ryczy,
tam jęczy tylko grad —
tam nic niema, prócz pustki, potęgi i dziczy,
tam przestrzeń!... Tobie szturmem nie śmie napastniczy,
poziomy grozić świat!...

Szczycie górski! Podnoszę ku tobie źrenice,
podnoszę tęskny wzrok —
daj mi, o! daj mi jedną twoją błyskawicę,
daj mi jeden blask czysty, co przez twe śnieżyce
i mgieł przelata mrok!

Światła twojego pragnę, błysku twego proszę,
czystego ognia z gór;
cząstki twej błyskawicy, co przez twe pustosze
leci, jak od rumaków Apollowych łoszę,
a chmury grzmią mu wtór!

Bowiem patrz! Dusza ludzka wali się i kona,
jej strawą: pył i kurz!
dusza ludzka jest prochem ziemi udręczona,
ona chce wstać i wzbić się!...

HENRYK SIENKIEWICZ.

„Jamioł“.

Obrazek wiejski.

W miasteczku Łupiskórach, po pogrzebie Kalikstowej były nieszpory, a po nieszporach zostało jeszcze kilkanaście bab w kościele, by odśpiewać resztę pieśni. Była godzina czwarta po południu, ale że w zimie o czwartej mrok zapada, w kościele więc było ciemno. Szczególniej więc wielki ołtarz tonął już w głębokim cieniu. Dwie jeszcze tylko świece paliły się koło cyborjum, ale migotliwe płomyki ich zaledwie trochę rozświecały złocenia drzwiczek i nogi zawieszonego wyżej na krzyżu Chrystusa, przebite ogromnym gwoździem. Główka tego gwoździa wyglądała jak wielki punkt błyszczący w ołtarzu. Z innych świec, dopiero co pogaszonych, snuły się pasemka dymu, napełniając miejsce za stallami czysto kościelnym zapachem wosku.

Dziad i mały chłopak kręcili się przed stopniami ołtarza. Jeden zamiatał, drugi ściągał ze stopni dywan. W chwilach, w których baby przestawały śpiewać, słychać było gniewliwy szept dziada, wymyślającego na chłopaka, albo stukanie do zasutych śniegiem okien wróbli, którym było na dworze zimno i głodno.

Baby siedziały w ławkach, bliżej drzwi wchodowych. Byłoby tam jeszcze ciemniej, gdyby nie kilka łojówek, z pomocą których właścicielki książek ułatwiały sobie czytanie. Jedna z tych łojówek oświecała dosyć wyraźnie przytwierdzoną do następnej ławki chorągiew, wyobrażającą grzeszników wśród płomieni i wśród szatanów. Na innych chorągwiach nie można było rozpoznać malowideł.

Kobiety nie śpiewały, ale raczej mruczały sennymi i zmęczonymi głosami pieśń, w której ustawicznie powtarzały się słowa:

„A kiedy przyjdzie skonania godzina,
Uproś nam, uproś u Twojego syna...“

Ten kościół pogrążony w cieniu, chorągwie sterczące przy ławkach, stare, o pożółkłych twarzach, kobiety — migotliwe, jakby pognębione pomroką, światełka, wszystko to było nad wszelki wyraz posępne, a nawet poprostu straszne. Ponure słowa pieśni o skonaniu znajdowały w tem tło właściwe.

Czasem też przestawano śpiewać; jedna z bab stawała w ławce i poczynała mówić drżącym głosem: „Zdrowaś Marja, łaskiś pełna“ — a inne podchwytywały: „Pan z Tobą etc.“, ale że to był dzień pogrzebu Kalikstowej, każde więc „Zdrowaś Marja“ kończyło się słowami: „Wieczny odpoczynek, racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci“.

Córka Kalikstowej, Marysia, siedziała w ławce obok jednej starej kobiety. Na grób świeży jej matki padał tam teraz właśnie śnieg miękki i cichy, ale dziewczyna miała zaledwie dziesięć lat, więc zdawała się nie rozumieć ani swej straty, ani litości, jaką mogła obudzać. Twarzyczka, o dużych niebieskich oczach, miała w sobie dziecinny spokój, a nawet obojętną jakąś pogodę. Malowało się na niej trochę ciekawości i nic więcej. Otworzywszy usta, patrzyła z wielką uwagą na chorągiew, na której było malowane piekło z grzesznikami, potem patrzyła w głąb kościoła, a potem jeszcze na okno, w które stukały wróble.

Oczy jej pozostały bezmyślne. Tymczasem baby poczynały mruczeć sennie poraz dziesiąty:

„A kiedy przyjdzie skonania godzina...“

Dziewczyna kręciła kosmyki swoich jasnych włosów, zaplecione z tyłu w dwa warkoczyki, nie większe od mysich ogonów: widocznie się jej nudziło. Następnie jednak uwagę jej zajął dziad.

Dziad wyszedł na środek kościoła i jął pociągać za węzłowaty sznur, zwieszający się z sufitu. Dzwonił za duszę Kalikstowej, ale czynił to zupełnie mechanicznie, gdyż widocznie myślał przytem o czem innem.

Dzwonienie owo było także znakiem, że nieszpory skończone. Baby, powtórzywszy ostatni raz prośbę o lekkie skonanie, wyszły na rynek. Jedna z nich prowadziła za rękę Marysię.

— Kuligowa! — spytała druga: — a co będzie ta robić z dziewczyną?

— A co mam robić? Jedzie do Leszczyniec Wojtek Marguła, co go przysłali na pocztę, to ją odwiezie. A bo co?

— A coże ona będzie robić w Leszczyńcach?

— Moiście wy! To, co i tu. Skąd jest, niech tam jedzie. A choć i we dworze, to sierotę przygarną i w kredensie pozwolą się przespać. —

Tak rozmawiając, szły przez rynek do szynku. Mroczyło się coraz bardziej. Czas był zimowy, cichy, niebo zawleczone chmurami, a powietrze przesiąknięte wilgocią i mokrym śniegiem. Z dachów kapała woda, na rynku zaś leżało błoto, urobione ze śniegu i słomy. Miasteczko, o domach nędznych i poodrapywanych, wyglądało tak posępnie, jak i kościół. Niektóre okna połyskiwały światłem; ruch już ustawał, w szynku tylko grała oberka katarynka.

Grała na wabia, bo w środku nie było nikogo. Baby weszły, napiły się wódki, przyczem Kulikowa dała i Maryśce pół kieliszka, mówiąc:

— Napij się, boś sierota. Nie zaznasz dobroci.

Słowo: „sierota“, przywiodło babom na myśl śmierć Kalikstowej, Kapuścińska mówiła:

— Do was Kulikowa! napijta się. O moi drodzy! jak ją ten paralus trzasnął, tak ci ani zipnęła. Nim dobrodziej przyszedł spowiadać, już była zimna.

Kulikowa na to:

— Mówiłam już zdawna, że ona cienko przędzie. Zeszłej niedzieli przyszła, a ja powiadam: „Ej, Kalikstowo, Kalikstowo! oddajcie lepiej Maryśkę do dwora“. A ona powiada: „Jedną córeczkę mam i nie dam“. Ale markotno jej było i zaczęła słochać, a potem do kancelarji poszła, do wójta, żeby papiery mieć co do „kolomnii“ na porządek. Zapłaciła cztery złote i groszy sześć. Ale powiada: „Dla dziecka nie żałuję!“ Moiście wy! A oczy to miała wytrzyscone i po śmierci jeszcze lepiej wytrzyscała. Co jej chcieli zamknąć to nie mogli. Mówili, że i po śmierci na dziecko patrzyła.

— Napijwa się na ten żal półkwaterek!

Katarynka wciąż grała oberka. Baby poczęły się trochę rozmarzać. Kulikowa powtarzała żałosnym głosem: „Chudziątko! chudziątko!“ — a Kapuścińskiej przyszła z kolei na myśl śmierć nieboszczyka jej męża.

— Jak umiroł — mówiła — to ci tak wzdychoł, tak wzdychoł, tak wzdychoł — i rozciągając coraz bardziej głos, weszła mimowoli w śpiew, ze śpiewu w takt katarynki, a w końcu porwała się za boki i zupełnie już na nutę oberka poczęła śpiewać:

„Wzdychoł, wzdychoł, wzdychoł,
Oj ta dana — wzdychoł!“

Nagle rozpłakała się rzewnie, dała kataryniarzowi sześć groszy i napiła się jeszcze wódki. Kulikową również porwało rozczulenie, ale skierowała je ku Marysi.

— Pamiętaj, sierotko — rzekła — co ci mówił dobrodziej, kiej ci mateńkę śniegiem przysypywali, że jamioł (anioł) jest nad tobą.

Tu zatrzymała się nagle, spojrzała naokoło jakby zdziwiona, a potem dodała z nadzwyczajną energją:

— Kiej mówię, że jamioł, to jamioł...

Nikt nie przeczył. Marysia, mrugając swojemi biednemi głupiemi oczkami, wpatrywała się uważnie w babinę. Kulikowa mówiła dalej:

— Tyś je sierotka, to złemu od ciebie zasie! Nad sierotami je jamioł. On je dobry. Na, masz dziesięć groszy. Choćbyś i piechotą do Leszczyniec poszła, to trafisz, bo on cię zaprowadzi.

Kapuścińska zaczęła śpiewać:

„W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
Pod Jego pióry uleżysz bezpiecznie“.

— Cichojcie! — zawołała Kulikowa.

A potem znów do dziewczyny:

— Ty głupia, wiesz kto je nad tobą?

— Jamioł — odrzekło cienkim głosem dziecko.

— Sieroteńko-że ty, jagodko ty, robaczku ty Boży! Jamioł ze skrzydłami — mówiła w zupełnem już rozczuleniu Kulikowa i, porwawszy dziewczynkę, poczęła ją przyciskać do swej poczciwej, choć pijackiej piersi.

Dziewczyna rozpłakała się teraz. Może w jej ciemnej główce i w sercu, które nie umiało nic jeszcze rozeznać, budziło się jakieś rozeznanie w tej chwili.

Szynkarz spał już w najlepsze za szynkwasem, na knotach łojówek narosły grzyby, kataryniarz przestał grać, bo go bawiło to, co widział.

Nastała cisza, którą przerwało nagle chlupotanie końskich nóg w błocie przed drzwiami i jakiś głos, który zawołał na konie:

— Prrr!

Do szynku wszedł Wojtek Marguła z zapaloną latarką w ręku, postawił latarkę, począł „zabijać“ ręce, by je rozgrzać, i wreszcie rzekł do szynkarza:

— Dajta-no półkwaterek!

— Marguła, kasztanie! — zawołała Kulikowa: — weźmiesz dziewczynę do Leszczyniec?

— Jużci wezmę, bo mi i kozeli — odparł Marguła.

Potem, przypatrzywszy się obydwom kobietom, dodał:

— Aleśta się porznęły, jak...

— Ażeby cię zara sparło! — odrzekła Kulikowa. — Kiedy ci mówię: ostrożnie z dzieckiem, to ostrożnie. Ona je sierota. Ty wiesz, głąbie, kto nad nią je?

Wojtek nie uznał za stosowne odpowiadać na pytanie i postanowił widocznie podnieść inny przedmiot, podniósł bowiem przedewszystkiem półkwaterek i zaczął:

— Wciorności wam...

Ale nie skończył, bo wypił wódkę, skrzywił się, splunął i stawiając z niezadowoleniem miarkę, rzekł:

— Dyć to sama woda. Dajta no drugiej z tej innej flaszki.

Szynkarz nalał mu z innej. Wojtek skrzywił się jeszcze mocniej.

— E! araku ta nie mata?

Margule groziło widocznie takie samo niebezpieczeństwo, jak i babom, ale że w tym samym właśnie czasie, we dworze w Łupiskórach, właściciel przygotowywał do jednego z pism obszerny i wyczerpujący artykuł: „O prawie propinacji dla dworów, jako o podstawie ustroju społecznego“, a zatem Wojtek przyczyniał się tylko niechcący do wzmocnienia fundamentów społecznych, a to tem bardziej, iż propinacja, chociaż w miasteczku, była istotnie dworską.

Przyczyniwszy się tak z pięć razy z rzędu, zapomniał wprawdzie latarki, w której świeczka zgasła, ale wziął nawpół śpiącą dziewczynę za rękę i rzekł:

— Chodźże, zmoro!

Kobiety posnęły również w kącie, nikt więc nie pożegnał Marysi. Poprostu: matka jej została na cmentarzu w Łupiskórach, a ona jechała do Leszczyniec.

Wyszli, siedli, Marguła krzyknął na konie: „Wista!“ — i pojechali. Sanie sunęły z początku dosyć ciężko po miasteczkowem błocie, ale potem zaraz wydobyli się na pola białe i rozległe. Jechać było lekko, śnieg nie szumiał prawie pod płozami; czasem tylko koń parsknął; czasem zdaleka, zdaleka doszło szczekanie psów.

Jechali, jechali. Wojtek poganiał konie i śpiewał pod nosem: „Pamiętos, psia jucho, coś mi obiecowal?“ Ale wkrótce umilkł i zaczął „żydy“ wozić. Kiwnął się w prawo, w lewo. Śniło mu się, że go w Leszczyńcach tłuką po karku, za to, że zgubił kobiałkę z listami, więc od czasu do czasu budził się pół i powtarzał: „Wciornaści!“ — Marysia nie spała, bo jej zimno było. Szeroko otwartemi oczy-

ma patrzyła na białe pola, które jej co chwila zasłaniały ciemne plecy Marguły. Myślała też przytem, że „matula pomerli“, a tak myśląc, wyobrażała sobie doskonale bladą i chudą twarz matuli o wytrzeszczonych oczach i odczuwała półświadomie, że ta twarz była kochana bardzo, że jej niema i nie będzie w Leszczyńcach już nigdy. Przecież widziała na własne oczy, jak ją zasypali w Łupiskórach. Przypomniawszy to sobie, byłaby się rozpłakała z żalu, ale że zziębły jej nogi i kolana, więc rozpłakała się z zimna.

Mrozu wprawdzie nie było, ale powietrze stało się przenikliwe, jak zwykle w odwilży. Wojtek bo miał przynajmniej w żołądku spory zapas poczerpniętego w łupiskórskim szynku ciepła. Właściciel Łupiskór słusznie przecie zauważył, „że wódka w zimie rozgrzewa, a ponieważ jest ona jedyną pociechą naszego ludu, odejmując przeto większym posiadaczom możność wyłącznego pocieszenia ludu, odejmuje się im i wpływ na lud“. Wojtek w tej chwili tak był pocieszony, że go nic zasmucić nie mogło.

Nie zasmuciło go nawet i to, że konie, doszedłszy do lasu, naprzód zwolniły zupełnie kroku, choć droga była w lesie lepsza, a następnie ruszywszy w bok, przewróciły sanie w rów przydrożny. Rozbudził się wprawdzie, ale nie zrozumiał dobrze co się stało.

Marysia poczęła go trącać:

— Wojtek!

— Czego skrzeczysz?

— Przewróciliśwa.

A Wojtek spytał: — „Sklonkę?“ — i usnął na dobre.

Dziewczyna siadła przy saniach, skuliła się jak mogła i siedziała. Ale twarz jej zmarzła wkrótce zupełnie, więc poczęła trącać śpiącego:

— Wojtek!

Nie odpowiadał.

— Wojtek, chcę do chałupy.

A po chwili znowu:

— Wojtek, bo pójdę piechtą...

Nakoniec poszła. Zdawało się jej, że do Leszczyniec jest bardzo blisko. Zresztą znała drogę, bo od niedziela chodziła nią z matką do kościoła. Ale teraz musiała iść sama. W lesie śnieg mimo odwilży leżał wysoki, ale za to noc była bardzo jasna. Blask od śniegu łączył się z blaskiem światła chmur, więc drogę było widać jak w dzień. Marysia, zapuszczając wzrok w ciemny las, mogła daleko spojrzeć pnie, rysujące się wyraźnie, czarno i spokojnie, na białym podkładzie. Widziała również dokładnie rzuty śniegowe, do pni przez całą długość przywarłe. Jakiś ogromny spokój był w lesie, który dziecku dodawał otuchy. Na gałęziach leżała złódź obfita, a z niej spływały krople wody, rozbijając się ze słabym szmerem o gałęzie i gałązki. Ale to był jedyny szmer. Zresztą naokół cicho, cicho, biało, milcząco, cicho...

Wiatr nie wiał. Uśnieżone kiści nie poruszały się najmniejszym ruchem. Spało wszystko zimowym snem. Mogło się zdawać, że śniegowy obrus na ziemi, i cały las milczący, a przytrząśnięty, i blade chmury na niebie, to wszystko jakaś biała jedność — martwa. Tak bywa w czasie odwilży. Jedyną żywą istotą, poruszającą się, jak mały czarny punkcik wśród tych milczących wielkości, była Marysia. Dobry, poczciwy las! Te krople, które opuszcza topniejąca złódź, to może łzy nad sierotą. Drzewa takie wielkie litośne nad maleństwem!... Oto samo jedno, takie słabe, biedne, wśród śniegu, nocy i lasu, brnie sobie z ufnością, jakby nigdy nic! Noc jasna zdaje się troskać o nią. Jest w tem jakaś wielka słodycz, gdy coś, co jest małem i bezsilnem, oddaje się i powierza tak zupełnie ogromnej sile. W ten sposób wszystko może istnieć na woli Bożej. Dziewczyna szła już dość długo i zmęczyła się wreszcie. Przeszkadzały jej ciężkie, za wielkie buty, w których jej małe nóżki zsuwały się ustawicznie. Ciężko było wyciągnąć takie ogromne buciska ze śniegu. Przytem i rękoma nie mogła swobodnie poruszać, bo w jednej, wyciągniętej sztywnie, trzymała z całej siły ową dziesiątkę, którą dostała od Kulikowej. Bała się upuścić w śnieg. Zaczynała chwilami płakać głośno, a potem urywała nagle, jakby się chcąc przekonać, czy kto płaczu nie słyszy. Owszem, las słyszał. — Topniejąca złódź szemrała jednostajnie, a jakoś żałośnie. Prócz tego, może jeszcze ktoś słyszał... Dziecko idzie coraz wolniej. Czyżby miała zbłądzić? — Gdzie tam! droga jakby biała, szeroka, zwężająca się w dali wstęga, leży wyraźnie między dwiema ścianami ciemniejszych drzew. Dziewczynę począł ogarniać sen niepokonany.

Zeszła i siadła pod drzewem. Powieki opadały jej na oczy. Przez chwilę myślała, że po białości śniegowej matula idzie ku niej od strony cmentarza. Nikt nie szedł. Dziecko było jednak pewne, że ktoś przyjść musi. Kto? — Anioł. Przecie stara Kulikowa mówiła, że „jamioł“ jest nad nią. Marysia znała go. W chałupie u matuli był jeden malowany z „leliją“ w ręce i ze skrzydłami. Przyjdzie niezawodnie. Złódź jakoś zaczyna szemrać mocniej. To może jego skrzydła strącają więcej kropel... — Cicho!! istotnie ktoś idzie; śnieg, choć miękki, szeleści wyraźnie, kroki zbliżają się i zbliżają, ciche, ale szybkie. Dziecko podnosi z ufnością senne powieki...

Co to?!

Szara, jakaś trójkątna głowa, o sterczących uszach, przypatruje się dziecku pilnie... straszna, ohydna...

Z dziejów Polski.

V.

Polska w podziałach od r. 1138—1288.

Władysław II, 1138—1146.

Kiedy Władysław obejmował rządy wielkoksiążęce i zwierzchnictwo nad całem państwem, wszyscy jego bracia przyrodni byli jeszcze dziećmi, więc jeszcze nie potrzebowali dzielnic. O podział naglili jednak zarówno biskupi jak świeccy wielmoże, by przyśpieszyć upragnione osłabienie władzy monarszej, a zarazem swoją władzę rozszerzyć i wzmocnić: toć na każdej dzielnicy panowie duchowni i świeccy sprawowali rządy opiekuńcze w imieniu małoletnich książąt. Z utworzeniem pięciu dworów książęcych, zamiast jednego wojewody, jednego palatyna, będzie pięciu wojewodów, pięciu palatynów, pięciu kanclerzy itd.; każdy z panów otrzyma jakiś urząd, jakieś dostojeństwo. Władysław opierał się podziałowi, ale musiał ustąpić i wielmoże dopięli swego. Lecz wielki książę chciał przynajmniej zatrzymać dla siebie rzeczywistą, silną władzę zwierzchniczą nad całem państwem. Żądał, żeby mu przysługiwało prawo nakładania i pobierania podatków, jak Polska długa i szeroka. Wspólny skarb w ręku wielkiego księcia zapewniałby mu prawdziwą przewagę nad braćmi, książęta dzielnicowi byliby właściwie tylko jego namiestnikami dziedzicznymi, a jedność państwowa byłaby tym sposobem ocalona. Książęta, lub raczej ich opiekunowie biskupi i wielmoże, ani słyszeć o tem nie chcieli. Wtedy Władysław braci swoich najechał zbrojnie i z dzielnic ich powypędzał, chcąc ocalić testament ojcowski i Polskę pod swojemi rządami zjednoczyć. Byłoby to wielkiem szczęściem dla narodu; wszak od tego zaczynał niegdyś panowanie Bolesław Chrobry i Mieczysław II. Na nieszczęście, powaga panującego była już podkopana, od czasów Bolesława Smiałego i zbrodni, popełnionej na św. Stanisławie.

Całe duchowieństwo i jego możnowładztwo polskie stanęło przeciwko wielkiemu księciu, w obronie młodszych braci, naprawdę zaś w obronie swojej wszechwładzy przeciw zjednoczeniu państwa i przywróceniu dawnej potęgi monarszej.

Wygnani bracia uciekli do Poznania; Władysław ruszył na nich z wojskiem i zaczął oblegać miasto. Wówczas arcybiskup gnieźnieński, Jakób ze Znina, chwycił się przeciw niemu tej samej straszliwej broni, którą niegdyś biskup krakowski Bolesława Smiałego zmiótł z tronu. W otoczeniu duchowieństwa zjechał do obozu Władysława II i wyklął go publicznie w oczach całego wojska. Drużyna zaraz opuściła wyklętego. Złamany, uszedł z kraju i napróżno wzywał cesarza, by go przywrócił na tron wielkoksiążęcy.

Po wygnanym Władysławie możnowładztwo powołało na stolicę krakowską Bolesława Kędzierzawego, jego młodszego brata. Już odtąd przez półtora wieku będą wielmoże duchowni i świeccy rozporządzać najwyższą władzą, z tronu krakowskiego strącać jednych Piastów, a drugich wynosić.

Z wewnętrznych zamieszek i poniżenia władzy monarszej skorzystali zaraz Niemcy, by zdobyć kraje zaodrzańskie i wyspę Rugję. Tak powstała na Zaodrzu niemiecka Marchja brandenburska. Polska, rozbita na dzielnice, nie zdołała tej stracie przeszkodzić.

Nie skończyło się na jednej klęsce. Niebawem cesarz Fryderyk I Rudobrody stanął w obronie wygnanego Władysława i ruszył na wyprawę przeciw Polsce. Książęta dzielnicowi byli za słabi, żeby mogli mu stawić opór skuteczny. Rudobrody wtargnął do Wielkopolski, dotarł aż pod Poznań. Bolesław Kędzierzawy błagać musiał o łaskę. Zniewolony był przystać na niesłychane upokorzenie. W Krzyszkowie, gdzie cesarz rozłożył się obozem, stanął przed nim Bolesław boso, w długiej śmiertelnej koszuli, z gołym mieczem uwieszonym u szyi na konopnym powrozie i na klęczkach uznał się hołdownikiem Fryderyka. Przyrzekał zapłacić haracz i na każde zawołanie dostawić Rudobrodemu posiłków. — Bolesław Krzywousty byłby się przewrócił w grobie na widok opłakanych skutków swego testamentu i małoduszności swego syna.

Nie przywrócił zatem Fryderyk na tron Władysława II, który niebawem umarł na wygnaniu w Niemczech, ale synowie jego za sprawą cesarza dostali ojcowską dzielnicę śląską i zaraz podzielili ją między siebie na trzy części; dali tym innym Piastom zły przykład rozdrabniania dzielnic na coraz mniejsze okruchy. Co gorsza, Śląsk od tej pory przestał się liczyć do państwa polskiego, gdyż potomkowie Władysława II odstrychnęli się od rodu piastowskiego, niemczyli się coraz bardziej, a wkońcu zeszli na lenników cesarskich.

Tak więc tylko straty, upokorzenia i nieszczęścia były następstwem rozbicia Polski na dzielnice.

Ze śmiercią Kędzierzawego pozostało przy życiu jeszcze dwóch tylko synów Bolesława Krzywoustego: wielkopolski Mieszko, przezwany Starym, i najmłodszy z braci, Kazimierz. Ten już od lat siedmiu panował w dzielnicy sandomierskiej, którą wziął w spadku po bracie Henryku, poległym w bojach z pogańskimi prusakami. Na wielkoksiążęcy tron krakowski wezwali możnowładcy po starszeństwie Mieszka. Był to pan żelaznej ręki, nieugiętej woli. Chciał wznowić możnowładztwo takie, jak za czasów Bolesława Smiałego. Nie rozumiał, że nijaka moc nie zdoła przywrócić minionych czasów. Duchowni i świeccy przywykli do rządzenia państwem, książę mógł więc stanąć tylko na ich czele, wprząc ich do wspólnej pracy i z ich udziałem panować. Mieszko uroił sobie, że będzie rządził bez nich i przeciwko nim. W upornem zaślepieniu dążył do tego, by najprzedniejszą część narodu zubożyć, ubezwładnić i złamać. Kuł coraz nowe, coraz dotkliwsze prawa, któremi społeczeństwo krępował na każdym kroku, cały tok życia ujął w drobiazgowe i wielce uciążliwe przepisy, a najmniejsze ich przestąpienie karał grzywnami pieniężnemi, które bogaciły skarb książęcy, rujnując poddanych. Do wykonania tych zarządzeń trzymał sobie Mieszko całą zgraję urzędników, zwanych „służebnikami książęcymi“. Byli to ludzie niskiego pochodzenia, zależni jedynie od księcia. — Wiedzieli, że mu się najlepiej mogą przypodobać wyzyskiem i ciemięstwem. Takie rządy musiały wzbudzić rozgoryczenie i dla państwa zgubną niezgodę między narodem a władcą.

Raz, gdy Mieszko na trybunale sprawował sądy, stanął przed nim Getko, czyli Gedeon, biskup krakowski, wiodąc niewiastę w czerni, jakoby wdowę pokrzywdzoną. — Panie — rzekł — uczyń sprawiedliwość tej białogłowie. Miała trzody mnogie i tłuste, aliści pan jeden przemożny wyszczuł na nie swoje psy wściekłe, które pokaleczyły i potargały trzodę niewinną!

— Kto jest ów okrutnik?! — zawołał Mieszko, rad, że się zemści na którymś wielmoży.

— Ty sam! — odparł biskup. — Ta wdowa to Polska, jej trzody, to naród, a wściekłe psy to urzędnicy twoi!

Nie ważył się Mieszko porwać na biskupa, lecz głuchym pozostał na jego surową przestrogę, i wnet rozjątrzenie powszechne zmiotło go ze stolicy wielkoksiążęcej. Uciekł do swej Wielkopolski, ale i tam zastał bunt pod przewodem Odona, swego własnego syna.

Medjum czy oszust?

Spirytyści rumuńscy, a wraz nimi władze i ludność małej miejscowości Banffyhunyad są w największem poruszeniu. Komisje lekarskie, juryści, detektywi i „specjaliści“ od nieznanych zjawisk jadą do tej miejscowości masowo z zagranicy. Dlaczego? Bo oto w miejscowości tej stwierdzono fakty następujące: W Banffyhunyad bawi od pewnego czasu młody żołnierz rumuński, Jan Hosszu, na urlopie. W ciągu dnia pomaga on rodzicom w pracy na polu, a wieczorem zasiada w restauracji i popija z innymi wieśniakami. Kiedy ma już dosyć trunku, idzie spać.

Przed kilkoma dniami zdarzył się osobliwy wypadek. Oto, kiedy zegar kościelny wydzwonił godzinę dwunastą, ciało owego żołnierza nagle zesztywniało zupełnie i nietylko zesztywniało jak kość, ale uniosło się i znikło. Znikło bez śladu.

Zaczęło się to powtarzać każdej nocy. Skoro tylko uderzyła godzina dwunasta, żołnierz zapadał w ten stan odrętwienia, po niejakiej chwili ciało jego unosiło się w górę i rozpływało się zupełnie, a punktualnie po upływie 3 godzin „lądowało“ z powrotem do tego samego łóżka, z którego znikło.

Ów żołnierz po takim wypadku zawsze opowiada, że przyszła do niego jakaś dama, kazała mu z sobą jechać i on przyjmował to zaproszenie. Dokąd jechał i co się dalej działo, nic nie wie. Jedno jest tylko pewnem, że żołnierz ten ma uczucie strachu. Poczuł się obecnie chorym, popadł w znaczne osłabienie, dobry jego humor zniknął i pospieszył do lekarza z prośbą o ratunek.

Dyrektor miejscowego szpitala dr. Bursai dał owemu żołnierzowi kilka zastrzygnięć, ale to nie zdało się na nic. Żołnierz wędrował w nocy po zastrzygnięciach, tak samo jak i przedtem. Ze drżeniem i obawą oczekiwał zawsze godziny dwunastej. Pewnego wieczoru siedział on w towarzystwie innych wieśniaków w restauracji. Wypite trunki wytworzyły nastrój bardzo ochoczy, tak, że Hosszu i jego towarzysze zapomnieli zupełnie o fatalnej godzinie dwunastej. Zaledwie jednak rozległy się dźwięki zegara, powtórzyło się to samo: żołnierz zniknął bez śladu. Towarzysze jego siedzieli w dalszym ciągu przy kieliszkach wódki i czekali na „przyjazd“ kolegi. O godzinie 3-ciej drzwi się otwarły, a zdrętwiałe ciało żołnierza wpadło, jak kamień, do restauracji.

Wobec tego wieśniacy postanowili położyć kres tym nocnym wędrówkom kolegi. Następnego wieczoru zgromadzili się znów w restauracji i kiedy zegar począł bić 12-tą godzinę, ośmiu najsilniejszych ludzi trzymało mocno żołnierza. Zapadł on znów w zwykłe odrętwienie, a towarzysze jego wydobywali resztki sił, aby go przytrzymać i mimo to ciało jego dwanaście razy podniosło się wraz nimi na wysokość pół metra.

I zdarzyło się to noc po nocy. Wieśniacy sądzili, że pewna, porzucona przez żołnierza dziewczyna, zaczarowała go. Chcąc się na niej zemścić, Hosszu wychłostał tę dziewczynę, ale to nic nie pomogło, gdyż siła czarów nie osłabła. Obecnie zebrała się na miejscu lekarska komisja celem załatwienia tej zagadki, w krótkim zatem czasie dowiemy się, czy spirytyści pozyskali nowe medjum, czy też mamy tu do czynienia znów z jakimś medjumicznym figlem.